

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Mark Twain

Królewicz i żebrak

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

SŁOWO WSTĘPNE

Chcę spisać opowieść posłyszana od kogoś, kto znał ją od swojego ojca, ten zaś od swojego ojca, któremu opowiadał ją jego ojciec, i tak dalej, i tak dalej: przez trzysta lat lub dłużej ojcowie przekazywali ją synom i w ten sposób opowieść przetrwała. Może jest to fakt historyczny, może tylko legenda, podanie. Przypadek ten zdarzył się albo nie zdarzył, lecz bez wątpienia mógł się zdarzyć. Może w dawnych latach opowieści tej wiarę dawali mądrzy i uczeni, a może tylko prości i nieoświeceni kochali ją i uważali za prawdę.

ROZDZIAŁ I

NARODZINY KRÓLEWICZA I ŻEBRAKA

W odwiecznym mieście Londynie pewnego jesiennego dnia w drugiej ćwierci szesnastego stulecia w ubogiej rodzinie nazwiskiem Cauty przyszedł na świat chłopiec, którego rodzina ta wcale nie pragnęła. Tego samego dnia w bogatej rodzinie Tudorów przyszło na świat inne angielskie dziecko, gorąco upragnione przez tę rodzinę. Pragnęła go również cała Anglia i tak doń tęskniła, tak go oczekiwała, tak korne zasyłała oń modły do Boga, że gdy narodziło się wreszcie, ludzie bliscy byli radosnego szaleństwa. Zwyczajni znajomi ściskali się, całowali i płakali ze szczęścia. Wszyscy zaczęli świętować i dziwnie jakoś złagodnieli, wysoko i nisko urodzeni, bogaci i biedni uctowali, tańczyli, śpiewali, a trwało to przez wiele dni i wiele nocy. Za dnia Londyn nie lada przedstawiał widok, bo wesołe chorągwie trzepotały na balkonach lub szczytach wszystkich domostw i wspaniałe korowody ciągnęły ulicami. Nocą widok był nie mniej okazały, bo na rogu każdej ulicy płonęły ogniska, wokół zaś nich weseliły się rozbawione tłumy. Jak Anglia długa i szeroka, mówiono jedynie o nowo narodzonym dziecieniu, Edwardzie Tudorze, księciu Walii, który leżał spowity w jedwabie i atłasy i nic nie wiedział o wywołanym przez się zamieszaniu ani o tym, że niańczą go i doglądają dostojni panowie i damy – na czym zresztą wcale mu nie zależało. Ale o drugim niemowlęciu, Tomie Cauty, spowitym w nędzne szmaty, nie wiedział nikt z wyjątkiem najbliższej rodziny biedaków, której niedawne jego przyjście na świat sprawiało wiele kłopotu.

ROZDZIAŁ II

DZIECIĘCE LATA TOMA

Mijały lata. Londyn istniał już wtedy od piętnastu wieków i jak na owe czasy był ogromnym miastem. Liczył sto tysięcy mieszkańców, a zdaniem innych nawet dwa razy więcej. Ulice jego były bardzo wąskie, kręte i brudne, zwłaszcza w dzielnicy, w której mieszkał Tom Cauty, to jest w niedalekim sąsiedztwie London Bridge. Domy były drewniane; pierwsze piętra rozprzestrzeniały się szerzej niż partery, drugie zaś wysuwały łokcie nad pierwszymi. Im wyżej tedy wyrastały domy, tym stawały się szersze. Mocne, na krzyż łączone belki tworzyły ich szkielety, a przestrzeń między belkami wypełniał tynkowany kamień lub cegła. Drewno barwiono zależnie od upodobania właściciela: niebiesko, czerwono lub czarno, dzięki czemu domy wyglądały nader malowniczo. Małe okna z drobnymi, w ołów oprawnymi szybami osadzone były na zawiasach i niby drzwi otwierały się na zewnątrz. Dom, w którym mieszkał ojciec Toma, stał w głębi cuchnącego zaułka Offal Court, przy bocznej uliczce zwanej Pudding Lane. Był to budynek mały, chwiejący się, zmurszały, mimo to gęsto zaludniali go nędzarze. Rodzina Cauty'ego zajmowała izbę na drugim piętrze. Matka i ojciec mieli jakieś takie łóżko ustawione w jednym kącie, lecz żadne ograniczenia nie krępowały Toma, jego babki i sióstr – Bet i Nan – gdyż należała do nich cała podłoga i mogli sypiać, gdzie im się spodobało. W izbie znajdowały się wprawdzie strzepy jednej czy dwu der i kilka snopków starej, brudnej słomy, lecz nie godziło się nazywać tego posłaniami; były to ruchomości niezorganizowane, które rano skopywano w jeden stos, wieczorem zaś rozdzielano do użytku członków rodziny.

Bliźniaczki – Bet i Nan – miały po piętnaście lat. Były to pocziwe dziewczęta, umorusane, odziane w łachmany i bezgranicznie ciemne. Matka nie różniła się od córek, za to ojciec i babka stanowili szatańską parę. Upijali się przy każdej okazji, potem zaś bili się pomiędzy sobą albo z każdym, kto wszedł im w drogę; zawsze – trzeźwi czy pijani – kłócili się i kłęli; John Cauty był złodziejem, matka jego żebraczką. Z dzieci zrobili żebraków, lecz nie udało się im uczynić z nich złodziei.

Pośród nędznego motłochu zamieszkującego ową ruderę żył (lecz nie należał do niego) dobry stary kapłan, którego król pozbawił domu i wygnał w świat z pensyjką kilku ćwierćpensów; kapłan ten zwykł gromadzić wokół siebie dziatwę i potajemnie nauczał ją prawdy i rzeczy pięknych. Ksiądz Andrzej zapoznał również Toma z odrobiną łaciny oraz ze sztuką czytania i pisania. Tego samego mógłby nauczyć i dziewczęta, te jednak obawiały się drwin przyjaciółek, które nie darowałyby im nigdy tak osobliwej edukacji.

Cały Offal Court był takim samym mrowiskiem jak dom Johna Cauty. Pijatyki, kłótnie, bójki zdarzały się tam często, bo odbywały się co noc i trwały całe niemal noce. Rozbite łby były tu zjawiskiem nie mniej pospolitym niż głód.

Mały Tom nie czuł się jednak nieszczęśliwy. Cierpiał oczywiście biedę, lecz nie zdawał sobie z tego sprawy. Podobny żywot wiedli wszyscy chłopcy z Offal Court, Tom sądził więc, że to żywot dostatni i godziwy. Dobrze wiedział, że gdy wieczorem wróci do domu z pustymi rękoma, najpierw ojciec zwymyśla go i zbije, kiedy zaś ojciec skończy, groźna babka rozpocznie rzecz od nowa i z jeszcze lepszym skutkiem. Wiedział, że późną nocą zagłodzona matka zbliży się doń ukradkiem i przyniesie jakąś nędzną resztkę jadła albo skórkę chleba,

zachowaną dla syna kosztem próżnego żołądka, chociaż mąż ją często chwycił na tej nikczemnej zdradzie i nagradzał tęgim laniem.

Tak! Tomkowi żyło się nie najgorzej – szczególnie latem. Żebrał tyle tylko, by obronić własną skórę, bo prawa przeciw żebraniu były srogie, a kary dotkliwe. Wiele więc czasu mógł poświęcać słuchaniu przepięknych starych baśni i legend dobrego księdza Andrzeja, który mówił o wielkoludach i wrózkach, karłach i geniuszach, zaklętych zamkach, wspaniałych monarchach i królewiczach. Chłopiec nabijał sobie głowę tymi cudownościami i często, gdy w mrokach nocy leżał na skąpym barłogu z kłującej słomy zmęczony, głodny, obolały od razów – puszczał wodze fantazji i rychło zapominał o cierpieniu i dolegliwościach, z rozkoszą malując przed oczyma wyobraźni czarowny żywot rozpieszczonego małego księcia w królewskim pałacu. Ale we dnie i w nocy nawiedzało go wciąż jedno pragnienie – chęć ujżenia na własne oczy prawdziwego królewicza. Raz wspomniawszy o tym kamratom z Offal Court, lecz ci wyśmieli go i wydrwili tak niemiłosiernie, że od tej pory wolał zachowywać marzenia dla siebie.

Tom czytywał często stare księgi kapłana i prosił go o szczegółowe wyjaśnienia oraz tłumaczenie rzeczy niejasnych. Powoli, stopniowo chłopiec zmieniał się pod wpływem tej lektury i marzeń. Ludzie z jego snów byli tacy piękni, że mały żebrak zaczął się wstydić swych łachmanów i niechlujstwa, że zapragnął być czystszy i lepiej odziany. Oczywiście swawolił nadal w błocie – i to swawolił z przyjemnością – lecz zamiast pluskać się w Tamizie jedynie dla rozrywki, pojmował już, że zabawa ta ma również sens ze względu na możliwość kąpieli i prania.

Tom potrafił znaleźć zawsze coś ciekawego w pobliżu Maika na Cheapside albo na jarmarkach. Od czasu do czasu wraz z resztą mieszkańców stolicy miał sposobność podziwiać paradę wojskową, gdy jakiegoś nieszczęsnego sławnego więźnia odstawiano łądem lub wodą do Tower. Pewnego letniego dnia oglądał na Smithfield, jak palono na stosie biedną Annę Askew i trzech mężczyzn; słyszał również kazanie wygłoszone do skazańców przez jakiegoś byłego biskupa, to jednak nie zainteresowało Toma. Tak! Życie małego żebraka było ma ogół dość urozmaicone i zabawne.

Z czasem czytanie i rozmyślanie o życiu królewiczów sprawiły tak przemożny skutek, że Tom zaczął bezwiednie grać rolę królewicza. Ku podziwowi i uciesze rówieśników nabierał dziwnie dwornych manier i wysławiał się kwiecistie. Zarazem jednak z dnia na dzień wzrastało jego znaczenie pośród chłopców, którzy traktowali go z pełną podziwu obawą, niby istotą wyższą. Zdawało się im, że Tom wie bardzo wiele, że robi i mówi rzeczy szczególnie osobliwe. A ponadto taki był mądry i przenikliwy! O słowach i czynach towarzysza zabaw malcy opowiadali starszym, ci zaś rozprawiali również o Tomie Cauty i wnet zaczęli go uważać za niepospolitą, wysoce utalentowaną osobę. Ludzie zupełnie dorośli przychodzili nieraz do Toma z prośbą o pomoc w kłopotach i często dziwili się bystrości i rozsądkowi jego rad. Prawdę mówiąc, chłopiec ten został wnet bohaterem dla wszystkich znajomych, z wyjątkiem własnej rodziny, która nie dostrzegała w nim nic osobliwego.

Niebawem Tom utworzył w tajemnicy królewski dwór. Sam został królewiczem, a najbliższych swych przyjaciół mianował gwardzistami, szambelanami, panami i damami dworu oraz członkami monarszej rodziny. Codziennie witano fałszywego królewicza według zasad skomplikowanej etykiety, zapożyczonych przez Toma z romantycznej lektury. Codziennie rada królewska roztrząsała ważne sprawy iluzorycznego państwa, a iluzoryczny władca codziennie wydawał dekrety przeznaczone dla urojonej armii, floty i namiestnictw.

Później Tom w swych łachmanach szedł na żebranie, zbierał kilka ćwierćpensówek, posilał się nędzną skórką chleba, odbierał zwykłe obelgi i kuksańce, aby wreszcie wyciągnąć się na garstce stęchłej słomy i we śnie marzyć znowu o swych godnościach.

Wciąż jednak, z dnia na dzień i z tygodnia na tydzień, wzbierało w Tomie pragnienie ujżenia choćby raz jeden prawdziwego królewicza – królewicza z krwi i kości, aż wreszcie pochłonęło ono wszystkie inne marzenia i stało się jedyną pasją w życiu małego nędzarza.

Pewnego dnia styczniowego Tom, bosy i zziębnięty, odbywał zwykłą żebraczą wędrowkę i przez wiele godzin wałęsał się beznadziejnie pomiędzy Mincing Lane a Little East Cheap. Zaglądał do okien pasztetników i pożerał wzrokiem wystawione tam ohydne zapiekanki z wieprzowiną i inne szatańskie wymysły, które były dlań smakołykami godnymi aniołów; oceniał je wszakże tylko po zapachu, bo nigdy nie miał okazji spożyć żadnego z tych przysmaków. Siekł drobny, zimny deszczyk, dzień był szary i posępny. Wieczorem Tom wrócił do domu tak przemokły, zmęczony i głodny, że nawet ojciec i babka musieli wzruszyć się jego żalonym wyglądem; toteż wzruszyli się na swój sposób, bo obdarowawszy chłopca tylko kilkoma pospieszonymi kuksańcami, wysłali go zaraz spać. Przez długi czas ból i głód oraz klątwy i odgłosy bójek odbywających się w całym domostwie nie pozwalały chłopcu zmrzyć oka; ma koniec jednak myśli małego nędzarza pomknęły ku odległym, romantycznym krainom i biedak usnął w towarzystwie obsypanych złotem i klejnotami królewiąt, które mieszkają w ogromnych pałacach i mają do dyspozycji służbę bijącą korne pokłony albo błyskawicznie spełniającą rozkazy. Potem śniło mu się, jak zwykle, że on również jest królewskim dzieckiem. Jak noc długa, lśniła nad nim gloria monarszego majestatu; chłopiec przechadzał się w potokach światła pośród wytwornych dam i lordów, oddychał upojnymi woniami, uchem łowił tony precudownych melodii, tutaj uśmiechem, tam skinieniem księżęcej głowy odpowiadał na dworskie ukłony ciżby, która rozstępowała się, aby zrobić mu drogę.

Kiedy zaś otworzył oczy z rana i spojrzął na panoszącą się wokół nędzę, sny owe wywołały ten sam co zazwyczaj skutek – tysiącrotnie zwiększyły ohydę prawdziwego otoczenia. Potem przyszły żałość i rozpacz, i łzy.

ROZDZIAŁ III

SPOTKANIE TOMA Z KRÓLEWICZEM

Tom wstał głodny i głodny wymknął się z domu, lecz głowę miał pełną myśli o mglistych wspaniałościach sennego marzenia. Błąkał się po mieście tu i ówdzie, nie bardzo wiedząc, dokąd idzie ani co się dzieje wokół. Ludzie potrącali go, niektórzy nawet besztali złym słowem, wszystko to jednak nie docierało do zadumanego chłopca. Po jakimś czasie znalazł się w pobliżu Tempie Bar; tak daleko nigdy jeszcze nie dotarł w swoich wędrówkach. Przystanął, zastanowił się przez chwilę, potem zaś poddał znowu władzy fantazji i wyszedł poza mury Londynu. Strand przestał już wówczas być gościńcem i uważał się za ulicę, lecz bez większego uzasadnienia, bo ulicę tę po jednej tylko stronie wytyczał stosunkowo ciągły szereg domostw, z drugiej zaś stały z rzadka okazałe gmachy – magnackie pałace otoczone rozległymi, uroczymi ogrodami ciągnącymi się aż do rzeki; tereny te są teraz ciasno zabudowane posepnymi akrami cegły i kamienia.

Tom odkrył niebawem wioskę Charing i przysiadł na chwilę pod pięknym krzyżem zbudowanym tam dawnymi laty przez owdowiałego króla. Następnie niedbałym krokiem ruszył spokojną, piękną aleją, minął wspaniały pałac potężnego kardynała i zbliżył się do jeszcze wspanialszego i bardziej majestatycznego gmachu – do Westminsteru. Z radosnym podziwem przyglądał się ogromnej budowli, jej szeroko rozpostartym skrzydłom, groźnym bastionom i basztom, olbrzymiej kamiennej bramie zdobnej złożonymi prętami, wspaniałym szeregiem wielkich granitowych lwów oraz innymi godłami i symbolami angielskiego domu panującego. Czy zaspokojone ma być wreszcie pragnienie jego duszy? Przecież to pałac królewski! Tutaj, za wolą niebios, Tom może zobaczyć zaraz prawdziwego królewicza – i królewicza z krwi i kości!

Po obydwu stronach złożonych wrót stały żywe posągi – wyprostowani, uroczyści i nieruchomi gwardziści, od stóp do głów okuci w lśniące stalowe zbroje. W przyzwoitej odległości wieśniacy i mieszczanie czekali cierpliwie okazji, aby rzucić okiem na jakąś osobę krwi królewskiej. Wspaniałe karety ze wspaniałymi osobami wewnątrz i wspaniałą służbą na zewnątrz wjeżdżały i wyjeżdżały przez kilka innych wspaniałych bram, które dawały wstęp na królewski dziedziniec.

Biedny mały Tom zbliżył się w swych łachmanach i z wolna, trwożliwie mijał wartowników, a serce biło mu i wzbierało nadzieją; nagle ujrzał przez złożone pręty widok, na który omal nie zakrzyknął radośnie. Na podwórku stał nadobny chłopiec, opalony na brąz od częstych ćwiczeń i zabaw na świeżym powietrzu, odziany w szaty z prześlicznych jedwabi i atłasów, usiane połyskującymi klejnotami. U boku miał mały sadzony drogimi kamieniami mieczyk i puginał, na nogach zgrabne buty z bawolej skóry zdobne czerwonymi obcasami, na głowie wykwinny purpurowy kapelusik z opadającymi w dół piórami przypiętymi wielką, lśniącą agrafą.

W pobliżu tego chłopca znajdowało się kilku okazałych panów – niewątpliwie jego sług. Ach! To przecież królewicz! Królewicz! Prawdziwy i żywy! Nie ma co do tego cienia wątpliwości! Płynące z głębi serca modły małego nędzarza zostały na koniec wysłuchane!

Z wielkiego wrażenia Tom zaczął oddychać szybko, nerwowo, a oczy rozszerzył mu podziw i zachwyt. W myślach chłopca wszystko ustąpiło jednemu pragnieniu, aby znaleźć się bliżej królewicza i dobrze przypatrzeć mu się łakomym wzrokiem. Nim więc zdążył się poła-

pać, co robi, przywarł twarzą do prętów bramy. W tej chwili jeden z żołdaków gwałtownie odrzucił go na bok i popchnął silnie między ciekawy tłum wiejskich gapiów i londyńskich próżniaków.

– Bacz, jak się zachowujesz, ty mały żebraku – złajał go gwardzista.

Tłum odpowiedział szyderczym wrzaskiem i śmiechem, lecz młody książę podskoczył do bramy; twarz mu gorzała, w oczach błyskał gniew.

– Jak śmiałeś tak potraktować biednego chłopca? – zawołał. – Jak śmiesz tak krzywdzić najnudniejszego choćby z poddanych króla, mojego ojca? Otwórz bramę i wpuść go!

Warto było widzieć, jak zmienny tłum zerwał w tej chwili nakrycia głowy. Warto było słyszeć, jak zakrzyknął radośnie: – Niech żyje książę Walii!

Gwardziści sprezentowali halabardy, otworzyli bramę i raz jeszcze sprezentowali broń, gdy mały Książę Ubóstwa w postrzępionych łachmanach wchodził na dziedziniec, ażeby podać rękę Księciu Nieprzebranego Bogactwa.

Edward Tudor powiedział:

– Widać, że jesteś zmęczony i głodny; źle cię tutaj przyjęto. Chodź ze mną.

Kilku dworzan zbliżyło się spiesźnie, aby... aby, jak sądzę, zaprotestować. Ale królewicz (owstrzymał ich władcym, iście monarszym gestem, zastygli więc na miejscu niby posągi.

Edward zabrał Toma do pięknej pałacowej komnaty, którą nazwał swoim gabinetem. Na jego rozkaz przyniesiono posiłek taki, jakiego mały nędzarz nie widział dotąd nigdzie i nigdzie – chyba czytał w książkach. Królewicz z wielkopańską delikatnością i dobrym wychowaniem odesłał służbę, aby jej krytyczne spojrzenia nie krępowały tak skromnego gościa; potem usiadł w pobliżu i zadawał pytania, podczas gdy Tom się posilał.

– Jak cię zowią, chłopcze?

– Tom Canty, proszę łaski Waszej Królewskiej Wysokości.

– To dziwne miano. Gdzie mieszkasz?

– W mieście Londynie, proszę łaski Waszej Królewskiej Wysokości. Na Offal Court, przy Pudding Lane.

– Offal Court! Zaiste, drugie dziwne miano! Masz rodziców?

– Rodziców mam, proszę łaski Waszej Królewskiej Wysokości, a także babkę, ale ona wcale mnie nie obchodzi, a niech mi Bóg wybaczy, jeśli powiedziałem coś złego. Mam też dwie siostry, bliźniaczki, Nan i Bet.

– Ze słów twych wnoszę, że babka nie jest dla ciebie zbyt dobra.

– Tak jak dla wszystkich, proszę łaski Waszej Królewskiej Wysokości. Ma złe serce i czyniła zło przez całe życie.

– Krzywdzi cię?

– Czasami ręka jej odpoczywa, kiedy śpi albo jest bardzo pijana, ale jak oprzytomnieje, zaczyna znowu swoje, i tęgie dostają mi się cięgi.

Iskry gniewu błysnęły w oczach małego królewicza.

– Co! Bije cię? – zawołał.

– A pewnie, proszę łaski Waszej Królewskiej Wysokości.

– Bije cię! Taki jesteś przecie słaby i mały. Słuchaj, nim noc zapadnie, znajdzie się ona w Tower. Król, mój ojciec...

– Wasza Królewska Wysokość zapomnieć raczył, że moja babka pochodzi z niskiego stanu. Tower jest tylko dla wielkich ludzi.

– Tak, tak, prawda. Nie pomyślałem o tym. Zastanowię się jeszcze nad karą dla niej. A ojciec dobry jest dla ciebie?

– Nie lepszy niż babcia Canty, Wasza Królewska Wysokość.

– Może wszyscy ojcowie są podobni. Mój też nie ma anielskiego usposobienia i ciężką ręką karze; mnie jednak oszczędza chociaż czasami, wstyd powiedzieć, nie skąpi przykrych słów. Jakże traktuje cię matka?

– Jest dobra, panie, i nie sprawia mi żadnych przykrości ani bólu, Nan i Bet są do niej podobne.

– Ile lat mają?

– Piętnaście, proszę łaski Waszej Królewskiej Wysokości.

– Lady Elżbieta, moja siostra, ma czternaście lat, a lady Jane Grey, moja kuzynka, jest w równym ze mną wieku. Lady Jane Grey jest urodziwa i miła. Ale moja siostra, lady Maria, z tą swoją posepną miną i... Słuchaj, czy twoje siostry zabraniają służebnym uśmiechać się i twierdzą, że uśmiech grozi zbawieniu duszy?

– Moje siostry? Ach, czy Wasza Królewska Wysokość myśli, że moje siostry mają służebne?

Mały królewicz przez chwilę przyglądał się poważnie małemu żebrakowi, a później rzekł:

– Za pozwoleniem, a czemu mieć by ich nie miały? Któż pomaga im rozbierać się na noc? Któż odziewa je, gdy wstają z rana?

– Nikt. Czy chcielibyście, panie, aby zwłóczyły szatę i spały gołe jak zwierzęta?

– Szatę? Czy każda z nich nosi tylko jedną szatę?

– Cóż, proszę łaski Waszej Królewskiej Wysokości, robić by mogły z większą ich ilością? Każda z mych sióstr ma przecież jedno tylko ciało.

– To dziwaczny, osobliwy pomysł! Wybacz mi, nie chciałem się śmiać. Twoje dobre siostry, Nan i Bet, rychło będą już miały stroje i służbę; zajmie się tym mój podskarbi. Nie, nie dziękuj! To drobiazg. Mówisz rozumnie, z przyrodzoną gracją. Jesteś uczony?

– Tego nie wiem, Wasza Królewska Wysokość. Dobry kapłan, którego zwiemy księdzem Andrzejem, z litości uczył mnie po trosze ze swych ksiąg.

– Czy znasz łacinę?

– Tylko niewiele, Wasza Królewska Wysokość.

– Ucz się jej, chłopcze, to rzecz trudna tylko na początku. Grecki jest trudniejszy, ale ani te języki, ani inne nie są, jak mi się zdaje, trudne dla lady Elżbiety albo mej kuzynki. Winienesz posłuchać, jak posługują się nimi te młode damy! Ale opowiadaj lepiej o swoim Offal Court. Czy żyje ci się tam przyjemnie?

– Prawdę rzekłszy, proszę łaski Waszej Królewskiej Wysokości, tak – chyba że człowiek jest głodny. Odwiedza nas wędrowny teatr marionetek, a także małpki... Och, takie ucieszne stworzenia i tak zabawnie poubierane! Czasami bywają przedstawienia, w których ci, co grają, krzyczą i walczą, dopóki się wszyscy nie wymordują. Miło na to popatrzeć, a kosztuje tylko ćwierć pensa... Chociaż czasami trudno bywa o ćwierć pensa, proszę łaski Waszej Królewskiej Wysokości.

– Opowiedz mi coś więcej.

– My, chłopcy z Offal Court, walczymy między sobą na pałki, tak jak to mają we zwyczaju terminatorzy.

Oczy królewicza zapłonęły.

– Ach, to by mi się podobało! – zawołał. – Mów dalej.

– Urządzamy też wyścigi, aby przekonać się, kto z nas najszybciej biega.

– I to by mi się podobało. Mów dalej.

– Latem brodzimy i pływamy po kanałach i rzece, a każdy topi na niby sąsiada, opryskuje go wodą i nurkuje, i krzyczy, i fika kozły, i...

– Ach, raz się tak zabawić! Warte to królestwa mojego ojca! Proszę cię, mów dalej,

– Tańczymy i śpiewamy dokoła Maika na Cheapside. Bawimy się w piasku i każdy zasypuje najbliższego sąsiada. Robimy także kołaczki z błota, z takiego wspaniałego błota! Na całym świecie nie ma chyba lepszego niż u nas. Po prostu nurzamy się w błocie, za przeproszeniem Waszej Królewskiej Wysokości.

– Ach, to mi zabawa! Nie mów nic więcej, proszę. Ach, gdybym mógł przywdziać strój podobny twemu i rozzuć się, i raz pohulać w błocie, raz jeden tylko! I żeby nikt mnie nie łajał, nie wzbraniał tego lub owego! Na Boga! Snadnie zrzekłbym się korony!

– A gdybym ja mógł ubrać się raz tylko, piękny panie, tak, jak wyście ubrani, raz jeden...

– Chciałbyś naprawdę? Niech więc tak będzie. Ściągaj łachmany, chłopcze, i bierz te wspaniałości. Radość nie będzie długa, lecz nie straci przez to uroku. Korzystajmy z niej, pókad można. Później znowu zamienimy szaty, nim nadejdzie ktoś i zacznie mnie nudzić.

Po niewielu minutach mały książę Walii przebrał się w dziurawe szmaty Toma, a mały Książę Ubóstwa przyodził świetne monarsze szaty. Obaj zbliżyli się do wielkiego zwierciadła, stanęli ramię w ramię i... o dziwo. Zdawać się mogło, że nie nastąpiła żadna odmiana! Chłopcy spojrzeli na siebie, potem w lustrza na taflę, potem znowu jeden na drugiego. Wreszcie zdumiony królewicz zapytał:

– I cóż ty na to?

– Ach, proszę łaski Waszej Królewskiej Wysokości, niechże wolno mi będzie nie odpowiadać. Nie godzi się, aby człek mojego stanu mówił o takiej sprawie.

– No, to ja powiem! Masz takie same jak ja włosy, takie same oczy, taki sam głos i ruchy, taki sam wzrost i postawę, takie same rysy i wyraz twarzy jak ja! Gdybyśmy stanęli nadzy, nikt nie zdołałby orzec, który z nas jest tobą, który zaś księciem Walii. A teraz, gdy odziałem się tak, jak ty byłeś odziany, zdaje mi się, że mógłbym odczuć to wszystko, co ty czuleś, kiedy ten grubianin, ten żołdak... Słuchaj, masz chyba siniaka na rękę?

– Tak, ale to drobiazg, a Wasza Królewska Wysokość wie przecież, że biedny żołnierz...

– Milcz! Postąpił haniebnie i okrutnie! – zawołał mały książę i tupnął bosą nogą. – Jeżeli król... Nie ruszaj się stąd krokiem, póki nie wrócę! Tak rozkazuję!

W jednej chwili porwał i ukrył gdzieś przedmiot o znaczeniu państwowym, który leżał dotychczas na stole, skoczył na dziedziniec i przez pałacowy ogród biegł w powiewających łachmanach. Twarz płonęła mu gniewem, oczy gorzały. Gdy znalazł się przy głównej bramie, chwycił za pręty i próbował wstrząsnąć wrzeczadze.

– Otwierać! Odryglować bramę – krzyczał.

Gwardzista, który tak okrutnie potraktował Toma, usłuchał bez wahania, kiedy zaś królewicz – pełen srogiego, iście monarszego gniewu – wybiegł za bramę, żołdak ów tego wytargał go za ucho i pchnął, aż Edward zataczając się wypadł na gościniec.

– Masz, podły żebraku, za to, co przez ciebie dostało mi się od Jego Królewskiej Wysokości! – zawołał gwardzista.

Tłum ryknął śmiechem. Królewicz podniósł się z błota i pałając gniewem, zwrócił się do wartownika:

– Jam książę Walii – krzyknął. – Osoba moja święta. Będziesz wisiał za to, żeś poważył się tknąć mnie ręką.

Gwardzista sprezentował halabardę i powiedział drwiąco:

– Pokłon Waszej Królewskiej Wysokości. – Potem zaś dorzucił gniewnie: – Zmykaj, zwarowany śmieciarzu!

W tej chwili wrzaskliwy tłum otoczył nieszczęśliwego małego królewicza i pognął go drogą, hukając nań i krzycząc:

– Miejsce dla Jego Królewskiej Wysokości! Miejsce dla księcia Walii!

ROZDZIAŁ IV

POCZĄTEK NIEDOLI KRÓLEWICZA

Po kilku godzinach zacieklego pościgu i dręczenia motłoch porzucił wreszcie małego królewicza i zostawił go własnemu losowi. Dopóki chłopiec był w stanie gniewać się na tłum, gromić go po królewsku i po królewsku rzucać rozkazy, był zabawny i dobry stanowił powód do śmiechu. Kiedy jednak utrudzenie zmusiło go do milczenia, przestał interesować prześladowców, którzy gdzie indziej poszli szukać rozrywki.

Królewicz rozejrzał się dokoła, lecz nie potrafił rozpoznać miejsca. Wiedział tyle tylko, że znajduje się w obrębie murów Londynu. Bez celu ruszył przed siebie. Rychło szeregi domów zrzędziały i coraz mniej trafiało się przechodniów. Edward opłukał pokrwawione stopy w strudze, która płynęła wówczas tam, gdzie dziś znajduje się Farringdon Street. Odpoczął chwilę, później zaś ruszył znów przed siebie i niebawem, wyszedł na rozległy plac, przy którym stało tylko kilka pojedynczych domów i nader okazały kościół. Królewicz poznał tę świątynię, otoczoną ze wszech stron rusztowaniami; wokół roili się tłumnie robotnicy, ponieważ budowlę przerabiano gruntownie. Królewicz nabrał wnet otuchy, gdyż poczuł, że zbliża się koniec jego utrapień. Powiedział sam do siebie:

„To stary klasztor franciszkanów. Król, mój ojciec, odebrał go mnichom, nazwał Przytułkiem Chrystusa i na wieczne czasy oddał na dom dla biednych, opuszczonych dzieci. Chętnie przysłużą się tu synowi tego, który obdarował ich tak hojnie, tym bardziej że syn ów jest teraz tak biedny i opuszczony jak wszyscy, którzy chronią się tu dzisiaj albo chronić będą w przyszłości”.

Królewicz znalazł się wnet pośród hordy chłopców, którzy biegali, skakali, grali w piłkę lub barani skok albo z wielką wrzawą uprawiali inne rozrywki. Wszyscy odziani byli jednako w strój używany w owe czasy przez służbę i terminatorów. Każdy nosił na czubku głowy płaską czarną czapeczkę, mniej więcej wielkości spodka, która ze względu na mały rozmiar nie była przydatna jako nakrycie głowy ani też nie mogła uchodzić za ozdobę. Spod czapeczki spływała do połowy czoła prosto przycięta grzywka, a włosy na reszcie głowy były krótko ostrzyżone. Chłopcy mieli ponadto kołnierze jak osoby duchownego stanu, obcisłe, sięgające poniżej kolan, niebieskie oponcze z długimi, obszernymi rękawami, szerokie, czerwone pasy, jasnożółte pończochy za kolana i płytkie trzewiki z dużymi metalowymi sprzączkami. Strój ten był zatem wystarczająco brzydki.

Chłopcy przerwali zabawę i niby trzoda owiec skupili się wokół królewicza, ten zaś przemówił z wrodzoną godnością.

– Dobrzy chłopcy, rzeknijcie swemu panu, że Edward, książę Walii pragnie z nim pomóc.

Odpowiedzią był wielki krzyk, a jakiś krzepki wyrostek zawołał:

– A może ty, żebraku, jesteś wysłannikiem Jego Królewskiej Wysokości?

Twarz Edwarda zapłonęła gniewem; skora dłoń sięgnęła do biodra, lecz niczego tam nie znalazła. Wybuchnął huragan śmiechu, jeden zaś z chłopców powiedział:

– Widzieliście? Myśli, że ma miecz. Może to sam książę Walii?

Żart ów wywołał nowy śmiech. Nieszczęsny Edward wyprostował się dumnie i rzekł:

– Ja jestem księciem, a wam, którzy żyjecie z łaski króla, mojego ojca, nie przystoi chyba szydzić, tak ze mnie.

Słowa te wywołały wiele wesołości, o czym świadczyć mógł gromki śmiech. Wyrostek, który odezwał się pierwszy, zawołał teraz do swoich towarzyszy:

– Hej, hołoto, niewolnicy, dziady żyjące z łaski ojca Jego Królewskiej Wysokości, jak się zachowujecie? Na klęczki wszyscy! Oddajcie pokłon monarszej godności i monarszym łachmanom!

Wśród okrzyków uciechy wszyscy jak jeden padli na kolana i złożyli szyderczy hołd swej ofierze. Królewicz trącił nogą najbliższego chłopca i powiedział gniewnie:

– Masz! To na razie, poczekaj wszakże jutra, a zbudować każę szubienicę dla ciebie.

Ach, to nie był figiel: to przekraczało granice zabawy. Śmiech umilkł w jednej chwili, a miejsce jego zajęła wściekłość. Tuzin głosów wrzasnął:

– Łapaj go! Do sadzawki, do sadzawki! Gdzie psy? Pójdź tu, Lew, Kiel, tutaj!

Potem dokonano czynu, jakiego dotychczas nie widziała Anglia: święta osoba następcy tronu została grubiańsko znieważona przez plebejskie ręce, obalona, poszarpana przez psy.

Późnym wieczorem królewicz znalazł się w głębi gęsto zabudowanej dzielnicy miasta. Miał wiele sińców, ręce mu krwawiły, a łachmany splamione były błotem. Szedł dalej i dalej, coraz bardziej znękany, zdrożony i tak słaby, że z trudnością włókł nogę za nogą. Przestał zadawać ludziom pytania, bo przynosiły mu tylko zniewagi miast odpowiedzi. Zaczął szeptać sam do siebie:

– Offal Court... tak to się nazywało. Jeżeli znajdę ten zaułek, nim całkowicie opadnę z sił i legnę, będę ocalony. Jego rodzina odprowadzi mnie do pałacu i łatwo dowiedzie, że nie należę do niej, lecz prawdziwym jestem królewiczem. Wówczas odzyskam swe prawa.

Od czasu do czasu wracał myślami do przyjęcia zgotowanego mu przez grubiańskich chłopców z Przytułku Chrystusa.

„Kiedy zostanę królem – myślał – muszę dać im nie tylko chleb i schronienie, lecz również naukę książki, bo pełny brzuch niewiele znaczy, gdy umysł i serce umierają z głodu. Na zawsze postaram się zapamiętać tę dzisiejszą lekcję, aby nie poszła na marne i lud mój nie cierpiał z tego powodu. Nauka zmiękcza bowiem serca i uczy uprzejmości oraz miłosierdzia”.

Światła przygasły, deszcz zaczął padać, zerwał się wiatr. Przyszła chłodna ponura noc. Bezdomny królewicz, zbłąkany dziedzic angielskiego tronu, szedł wciąż przed siebie i coraz głębiej zapuszczał się w gęstwą niechlujnych uliczek, w labirynt rojnych uli ubóstwa i nędzy.

Nagle jakiś pijany drab chwycił go za kołnierz i warknął:

– Mam cię! Znowu włóczyz się po nocy, a do domu nie przyniosłeś ani ćwierć pensa! Jeżeli nie połamię wszystkich gnatów w tym twoim chudym ciele, nie nazywam się John Canty, ale całkiem inaczej.

Królewicz wyrwał się, bezwiednie oczyścił zbezczeszczony rękaw i powiedział żywo:

– Tyś jego ojciec? Oby tak było za wolą miłosiernych niebios! Możesz więc jego zabrać, a mnie odprowadzić do pałacu.

– Jego ojciec? Nie rozumiem, o co ci chodzi, ale wiem, że twoim jestem ojcem, i zaraz przekonasz się o...

– Ach, nie żartuj, nie mów tak wiele, nie trać czasu! Jestem zmęczony, obolały, nie wytrzymam już długo. Zaprowadź mnie do króla, mojego ojca, a on da ci bogactwa, o jakich nie marzyłeś w najśmielszych snach. Uwierz mi, człowieku, uwierz! Nie kłamię. Mówię najszczerszą prawdę! Podaj pomocną dłoń! Ratuj mnie! Naprawdę jestem księciem Walii!

Zdumiony drab spojrział z góry na chłopca, później zaś pokręcił głową i mruknął:

– Oszałał na dobre, niby taki ze szpitala wariatów. – Potem chwycił znów królewicza za kołnierz, wybuchnął ochryplym śmiechem, zaklął i zawołał: – Wariat z ciebie czy nie wariat, ale jakem prawdziwy mężczyzna, ja i babcia Canty dobierzemy ci się zaraz do słabizny.

Powiedziawszy to powlókł rozszereżonego, szamoczącego się królewicza i zniknął w głębi podwórka, a za nim podążył gwar ubawionego tym zdarzeniem ludzkiego mrowia.

ROZDZIAŁ V

TOM W ROLI PATRYCJUSZA

Tom Cauty pozostał sam w gabinecie królewicza, korzystał więc z okazji. We wszystkie strony obracał się przed wielkim zwierciadłem i podziwiał swe piękne szaty. Potem oddalił się nieco i naśladując godne ruchy królewicza, wciąż oglądał swe odbicie w lustrzanej tafli. Następnie dobył z pochwy piękny mieczyk, skłonił się nisko, ucałował klingę i płazem przyłożył ją do piersi, widział był bowiem przed pięcioma czy sześcioma tygodniami, że czynił tak jakiś szlachetny rycerz, gdy pozdrawiał gubernatora Tower oddając w jego ręce dostojnych lordów Norfolk i Surreya. Mały żebrak bawił się wiszącym mu u pasa wysadzonym drogimi kamieniami puginałem, podziwiał kosztowne i piękne dekoracje komnaty, próbował po kolei wszystkich wspaniałych foteli i myślał o tym, jakby się pysznił, gdyby towarzysze z Offal Court mogli zajrzeć tu i na własne oczy zobaczyć jego wielkość. Zastanawiał się również, czy towarzysze ci uwierzą w dziwną baśń, kiedy on wróci do domu i opowie im wszystko, czy też będą potrząsać głowami mówiąc, że zbyt bujna wyobraźnia pomieszała mu zmysły.

Minęło pół godziny. Tom uświadomił sobie nagle, że królewicz wyszedł już dawno, poczuł się więc nieswojo, zaczął bacznie nasłuchiwać, rozglądać się wokół i przestał interesować się różnymi cackami. Ogarnęło go zmieszanie, potem niepokój, wreszcie strach. Gdyby tak ktoś wszedł i zastał go w książęcych szatach, królewicza zaś nie byłoby na miejscu, aby udzielić wyjaśnień? Czy nie mogliby zaraz powiesić Toma, a później dopiero dokładniej wejrzeć w sprawę? Słyszał przecie, że ludzie wielcy pochopnie załatwiają rzeczy drobne. Obawy jego rosły i rosły. Cały drżący, ostrożnie uchylił drzwi do przedsionka, postanowił bowiem wymknąć się i odszukać królewicza, a wraz z nim znaleźć opiekę i wolność. Sześciu strojnych dworzan i dwaj barwni niby motyle młodzi paziowie wysokiego rodu porwali się miejsce i skłonili nisko. Tom cofnął się szybko: zamknął drzwi.

– O, drwią ze mnie! – westchnął. – Pójdą teraz i rozpoviedzą wszystko. Ach, czemuż tu przyszedłem, czemu naraziłem życie?

Pełen nieokreślonych obaw przechadzał się tam i z powrotem po komnacie, nasłuchiwał i wzdrygał się przy każdym najsłabszym bodaj dźwięku. Niebawem drzwi otwarły się szeroko, a strojny w jedwabie paż oznajmił:

– Lady Jane Grey.

Drzwi zamknęły się znowu. Śliczna, bogato odziana dziewczeczka podbiegła do Toma, lecz zatrzymała się nagle i zapytała trwożnym głosem:

– Ach, czemuś zatroskany, panie mój?

Tom niemal przestał oddychać, zdołał jednak wyjąkać z trudem:

– Ach, ulituj się, pani. Doprawdy, ja nie żaden twój pan, tylko biedny Tom Cauty z Offal Court w mieście. Błagam, zaprowadź mnie do królewicza! On na pewno będzie dobry, zwróci mi moje łachmany i pozwoli odejść bezkarnie. Ach, ulituj się, pani, ratuj mnie!

W trakcie tej przemowy biedak padł na kolana, wznosił złożone jak do modlitwy ręce i błagał nie tylko głosem, lecz również pokornym wzrokiem. Dzieweczka była przerażona.

– O panie mój – zawołała – ty na klęczkach? Przede mną!

Z tymi słowy uciekła w popłochu, a zrozpaczony Tom padł na podłogę szepcząc:

– Znikąd pomocy, znikąd nadziei. Teraz przyjdą i wezmą mnie na pewno.

Kiedy leżał tak, skamieniały ze zgrozy, okropna wieść szybko rozniosła się po pałacu. Szepty (bo o zdarzeniu tym mówiono tylko szeptem) płynęły od sługi do sługi, od lorda do damy, wzdłuż długich korytarzy, z piętra na piętro, z sali do sali: „Królewicz oszalał, królewicz oszalał!” Wkrótce we wszystkich salonach, we wszystkich marmurowych przedsionkach widać było grupki strojnych dam i lordów, inne zaś świetne grupki (osób pośledniejszego rodu) z zafrasowaniem rozprawiwały szeptem na uboczu. Wszystkie twarze pełne były troski. Niebawem wspaniale odziany herold dostojnym krokiem zaczął przechadzać się obok owych grupek i obwieszczał uroczyście:

„W imieniu króla!

Niechaj nikt nie słucha fałszywych a niedorzecznych wieści ani, pod karą śmierci, nie rozpowszechnia ich, ani nie wynosi z pałacu.

W imieniu króla!”

Szepty umilkły, jak gdyby szepczący zaniemówili nagle. Wnet jednak wzdłuż korytarza rozległ się szmer: – Królewicz! Oto królewicz nadchodzi!

Biedny Tom mijał powoli nisko kłaniające się grupy, próbował odpowiadać ukłonami i żalosnym, zdziwionym wzrokiem spoglądał trwożnie na osobliwe otoczenie. Po obydwu jego stronach szli dostojni panowie, którzy wspierali Toma ramionami i w ten sposób pomagali mu stapać pewnym krokiem. Za nim podążali królewscy medycy i kilku dworzan.

Mały żebrak znalazł się wnet we wspaniałej komnacie i posłyszał, że drzwi za nim się zamknęły. Otaczali go ci, którzy przyszli z nim tutaj.

Przed Tomem, w niewielkiej odległości, spoczywał na łożu bardzo okazały i bardzo otyły mężczyzna z pełną, nalaną twarzą i oczyma o surowym wejrzeniu. Wielka jego głowa była zupełnie siwa, podobnie jak faworyty, które niby ramka okalały lice. Miał na sobie szaty z kosztownych materii, lecz stare i wytarte nieco na szwach. Spuchniętą nogę spowitą bandażami wspierał na poduszce. Wokół panowała cisza, a wszystkie głowy z wyjątkiem głowy owego mężczyzny chyliły się w pełnym szacunku pokłonie. Ten chory o surowym wyrazie twarzy był to groźny Henryk VIII. Król odezwał się, a gdy mówił, twarz łagodniała mu stopniowo:

– I cóż, Edwardzie, mój królewiczu? Czy ponurym żartem chcesz ranić tego, który cię kocha i zawsze jest dla ciebie łaskawy – mnie, dobrego króla, twojego ojca?

Początku tej przemowy biedny Tom słuchał tak uważnie, jak pozwalały jego zmęczone myśli, kiedy jednak padły słowa: „mnie, dobrego króla”, twarz mu zbieleła i runął na kolana niby człowiek trafiony strzałą.

– Wy królem, panie! A więc biada mi, biada – zawołał podnosząc rękę.

Słowa te zdumiały widać Henryka, bo bezradnie przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą, wreszcie spojrział smutno na klęczącego przed nim chłopca.

– Niestety – rzekł powoli tonem głębokiego żalu – sądziłem, że pogłoski wyprzedzają prawdę, lecz obawiam się teraz, iż popełniłem omyłkę. – Potem westchnął głęboko i podjął znacznie łagodniejszym tonem: – Zbliź się do ojca, dziecię, nie jesteś zdrowy.

Tomowi pomogli wstać. Pokorny i drżący chłopiec podszedł do władcy Anglii. Król ujął w dłonie jego przestraszoną twarz i badawczym, rozmiłowanym wzrokiem wpatrzył się w nią, jak gdyby szukał upragnionych objawów wracającej świadomości. Później przytulił do piersi kędzierzawą głowę i gładził ją czule.

– Poznajesz przecież swego ojca, dziecię? – zapytał. – Nie rań starego serca; powiedz, że mnie poznajesz. Przecież poznajesz mnie, prawda?

– Tak. Jesteście, o panie, moim potężnym władcą i królem, którego oby Bóg zachował wiecznie!

– To prawda, prawda... Masz rację... Uspokój się, nie drżij tak mocno. Nikt nie zrobi ci tutaj krzywdy. Wszyscy się kochają. Czujesz się już lepiej. Niedobry sen mija, prawda? I sie-

bie już poznajesz. Powiedz, że poznajesz. Nie będziesz nosił już cudzego imienia, którym, jak powiadają, nazwałeś się niedawno?

– Błagam, miłosierny panie, abyście zechcieli mi wierzyć! Mówiłem tylko szczerą prawdę. Jestem najędźniejszym spośród waszych poddanych, nędzarzem z urodzenia. Tutaj znalazłem się nieszczęsnym przypadkiem, chociaż bez własnej winy. Jestem za młody, aby umierać, a wy, miłośnicy panie, możecie mnie ocalić jednym słówkiem. Ach, wymówcie je, miłośnicy panie!

– Aby umierać? Nie mów tak, miły królewiczu. Uspokój, uspokój swe zbolełe serce. Na pewno nie umrzesz!

Z radosnym okrzykiem Tom padł znów na kolana.

– Oby Bóg nagroził wasze miłosierdzie, królu mój, i zachował was długo na chwałę waszego kraju!

Potem wstał, z rozjaśnionym obliczem zwrócił się do dwóch towarzyszących mu lordów i zawołał:

– Słyszeliście? Nie umrę! Król tak rzekł!

Słowa te nie wywarły większego wrażenia. Wszyscy skłonili się z głęboką czcią, lecz nikt się nie odezwał.

Tom zawahał się i stropił nieco, potem zaś pokornie zapytał króla:

– Czy wolno mi już odejść, miłośnicy panie?

– Odejść? Oczywiście, jeżeli taka twoja wola. Czemu jednak nie miałbyś zostać jeszcze trochę? Dokąd to chciałbyś odejść?

Tom spuścił wzrok i odrzekł nieśmiało:

– Pomyliłem się widać, sądziłem bowiem, że wolny jest, i wrócić chciałbym do rudery, gdzie urodziłem się i chowałem w nędzy. Tam jest schronienie mojej matki i siostr, tam jest mój dom. Ten zaś przepych i zaszczyty, do których nie przywykłem... Ach, błagam, miłośnicy panie, pozwólcie mi odejść!

Król milczał, popadł w zadumę. Twarz jego zdradzała coraz większy niepokój i troskę. Wreszcie przemówił, a w głosie jego zabrzmiała nuta nadziei:

– Być może oszalał pod tym jedynie względem, w innych zaś kwestiach zmysły ma nie pomieszczone. Boże, spraw, ażeby tak było! Uczynimy próbę.

Po łacinie zadał Tomowi jakieś pytanie, na które chłopiec odpowiedział z trudem w tym samym języku. Król był uszczęśliwiony i nie krył radości. Panowie i medycy nie szczędzili również objawów zadowolenia. Henryk powiedział:

– Odpowiedź nie była godna wiedzy i zdolności mego syna, dowodzi wszakże, iż umysł jego jest tylko chory, nie do cna porażon. A cóż wy na to?

Zapytany medyk skłonił się nisko i odparł:

– Zgadza się to z głębokim moim przekonaniem, że słusznieście odgadli, miłośnicy panie.

Król uradował się, kiedy dodał mu otuchy znakomity autorytet, ciągnął więc pogodniej:

– Uważajcie teraz wszyscy, bo czynić będziemy dalsze próby.

Powiedziawszy to, zadał Tomowi pytanie po francusku. Chłopiec stał przez chwilę niemy i zawstydzony zwróconymi nań spojrzzeniami tyłu oczów, potem zaś odrzekł skromnie:

– Nie znam tego języka, miłośnicy panie.

Król opadł na łożo. Pokojowcy skoczyli mu na pomoc, ale on odprawił ich i powiedział:

– Nie naprzykrzajcie się; to tylko chwilowa słabość. Podnieście mnie! Tak, już wystarczy. Chodź tutaj, dziecię. Tak, złóż biedną, skołataną główkę na mym ojcowskim sercu i uspokój się. Rychło już ozdrowiejesz. To przemijająca złuda. Nie obawiaj się. Rychło ozdrowiejesz.

Potem zwrócił się do zebranych dworzan. Zmieniło się jego łagodne obejście, z oczu strzeliły groźne błyskawice.

– Słuchajcie wszyscy! – przemówił. – Ten oto syn mój jest szalony, ale to niemoc chwilowa. Zaszkodziło mu zbyt wiele nauki i to, że za długo w dusznych przebywa komnatach.

Precz teraz księgi i nauczyciele! Baczcie wszyscy, aby się tak stało. Zabawiajcie go igraszkami i ćwiczeniami na świeżym powietrzu, a wnet przywrócić mu zdrowie.

Król podniósł się jeszcze wyżej i ciągnął stanowczym tonem:

– On jest szalony, nie przestał jednak być moim synem oraz dziedzicem tronu Anglii, a szalony czy zdrowy, będzie panował! Słuchajcie dalej i wszem to rozgłoście: każdy, kto mówi o tej jego przypadłości, działa przeciw pokojowi i porządkowi w naszych królestwach i pokarany będzie szubienicą!... Dajcie mi pić!... Cały płonę... Troska sił mnie zbawia... Weźcie, weźcie już ten puchar!... Wesprzyjcie mnie! O, tak... Teraz dobrze. Co, szaleniec? Gdyby był nim nawet po tysiąckroć, jest i zostanie księciem Walii, a ja, król, to potwierdzę. Niechaj już jutro zostanie mu nadana godność księcia z właściwym i starożytnym ceremoniałem. Uważaj to za rozkaz, lordzie Hertford.

Jeden z wielmożów ukląkł przy królewskim łożu i rzekł:

– Miłociwemu panu wiadomo, iż Dziedziczny Wielki Marszałek Anglii, obwiniony o zdradę, znajduje się w Tower. Nie godzi się, ażeby obwiniony...

– Milcz! Nie znieważaj mych uszu tym nienawistnym mianem! Czy ten człowiek ma żyć wiecznie? Czy nie stanie się zadość mojej woli? Czy książę Walii nie uzyska swej godności, dlatego że, do kroćset, królestwu brak wolnego od piętna zdrady marszałka, który synowi memu mógłby nadać należne tytuły? Nie, na Boga Wszechmogącego! Uprzedź mój parlament, że zanim słońce wzejdzie po raz drugi, mają mi tu przynieść wyrok na Norfolka albo też srogo mi za to zapłacić.

Wola króla jest prawem – powiedział lord Hertford. Wstał z klęczek i powrócił na dawne swe miejsce.

Gniew niknął powoli z oblicza starego monarchy, który powiedział:

– Pocałuj mnie, mój królewiczu, o tak... Czemu się lękasz? Przecież ja jestem twoim kochającym ojcem.

– Jesteście dobrzy dla mnie niegodnego, o potężny, miłociwy królu. To pojąłem już dobrze, ale... ale smuci mnie myśl o tym, który ma umrzeć...

– Ach, jakie to podobne do ciebie, jakie podobne! Wiem teraz, że pozostało ci to samo serce, chociaż umysł ucierpiał tak srodze. Zawsze byłeś jednak chłopcem łagodnym. Ale książę ów stoi pomiędzy tobą a twoimi godnościami. Na jego miejsce wprowadzę innego, który nie okryje hańbą wielkiego urzędu. Uspokój się, mój królewiczu, i biednej głowy nie zaprzataj tą materią.

– Ale to z mojej winy, miłociwy panie, ma on stąd odejść. Gdyby nie ja, mógłby przecie żyć jeszcze przez długie lata.

– Ach, nie myśl o nim, królewiczu: nie godzien tego. Ucałuj mnie raz jeszcze i spiesz do swych igraszek i zabaw. Dręczy mnie znów cierpienie. Strudzony jestem i pragnę spoczynku. Idź ze swym wujem Hertfordem i ze swym dworem i wracaj tutaj, gdy odpocznesz.

Toma wyprowadzono z komnaty. Smutny był, gdyż ostatnie zdanie króla zadało śmiertelny cios miłej nadziei, iż teraz wreszcie wydostanie się na wolność. Raz jeszcze posłyszał szmer stłumionych głosów: – Królewicz, królewicz idzie!

Ogarniał go coraz większy i większy smutek, gdy szedł tak pomiędzy błyszczącymi szeregami zgiętych w pokłonie dworzan, rozumiał bowiem, że teraz jest naprawdę więźniem i na zawsze może zostanie opuszczonym i samotnym księciem zamkniętym w tej złoconej klatce, chyba że Bóg litościwy zmiłuje się i odda mu wolność.

Ponadto zaś wciąż mu się zdawało, że dokądkolwiek zwróci wzrok, widzi unoszącą się w powietrzu odrąbaną głowę i twarz, którą pamiętał dobrze – twarz potężnego księcia Norfolk spoglądającą nań z wyrzutem.

Dawne marzenia Toma były urocze, ale rzeczywistość stała się tak ponura!

ROZDZIAŁ VI

TOM OTRZYMUJE WSKAZÓWKI

Toma zaprowadzono do jednej z najwspanialszych dworskich komnat i kazano mu usiąść, co czynił niechętnie, jako że wokół stało wiele ludzi starszych, i to ludzi nieporównanie wyżej odeń postawionych. Prosił ich, aby również zechcieli usiąść, oni jednak kłaniali się tylko lub dziękowali cichym głosem, lecz stali w dalszym ciągu. Byłby się przy tym upierał, ale jego „wuj”, lord Hertford, szepnął mu na ucho:

– Proszę cię, nie nalegaj, panie mój. Nie uchodzi, aby siadano w twojej przytomności.

W tej chwili oznajmiono lorda St. Johna, który skłonił się wprzód Tomowi, potem zaś rzekł:

– Przybywam z rozkazu króla w sprawie wymagającej tajemnicy. Może Wasza Królewska Wysokość zechce rozkazać, aby oddalili się stąd wszyscy z wyjątkiem dostojnego lorda Hertforda.

Hertford dostrzegł, iż Tom nie wie, co ma zrobić, szepnął mu więc, aby dał znak ręką i nie silił się na słowa, jeśli nie ma po temu ochoty. Dworzanie usunęli się i wówczas dopiero lord St. John przemówił:

– Miłościwy pan rozkazuje, aby dla ważnych racji stanu księżę Walii ukrywał swoją niemoc wszelkimi dostępnymi mu sposobami, dopóki niemoc owa nie minie i królewicz nie wróci do dawnego zdrowia. A mianowicie: aby nie przeczył wobec nikogo, iż jest prawdziwym królewiczem, dziedzicem wspaniałego angielskiego tronu. Aby piastował swą książęcą godność i bez słowa lub znaku protestu przyjmował objawy czci i hołdu należne mu według praw i odwiecznych obyczajów. Aby wobec wszystkich zaprzestał prawić o tym niskim urodzeniu i nędznym życiu, których obraz podsunęła mu ułuda chorej wyobraźni. Aby ze wszech sił starał się przypomnieć sobie wszystkie twarze, które znać powinien, jeżeli zaś nie przypomni ich sobie, zachowywał się spokojnie i żadnymi objawami zdziwienia lub innymi znakami nie zdradzał, iż zapomniał. Aby przy wystąpieniach publicznych, gdy zdziwi go jakaś sprawa albo nie będzie wiedział, jak zachować się, czy co powiedzieć – nie zdradzał niepokoju wobec spozierających nań ciekawych oczu, lecz o radę zwrócił się do lorda Hertforda lub do mojej niegodnej osoby, jako że obydwaj zostaliśmy przydzieleni do jego służby i z woli króla mamy znajdować się w pobliżu i na każde zawołanie księcia Walii, dopokąd rozkaz ten nie zostanie cofnięty. Tak mówi miłościwy pan, śle pozdrowienia Waszej Królewskiej Wysokości i modli się, aby Bóg w swej łasce szybko was uzdrowił i po wiek wieków miał w swej świętej pieczy.

Lord St. John skłonił się dwornie i stanął na uboczu. Tom odpowiedział tonem rezygnacji:

– Król tak rzekł. Nikomu nie wolno igrać z królewską wolą, chociażby nawet była przykra, ani chytrymi wybiegami naginać jej ku swej wygodzie. Rozkazom króla musi się stać zadość.

– Powracając tedy do rozkazów króla dotyczących ksiąg i innych spraw poważnych – rzekł lord Hertford – może Wasza Królewska Wysokość zechce się teraz zająć jakąś mało trudzącą rozrywką, aby nie znużyć się przed bankietem i nie ucierpieć z tej racji.

Na twarzy Toma pojawił się wyraz pytającego zdziwienia, potem zaś rumieniec, gdy chłopiec zauważył, że lord St. John spojrział nań wielce zatroskanym wzrokiem.

– Pamięć zawodzi was wciąż, panie mój – powiedział lord St. John. – Okazaliście zdziwienie, ale niechaj was to nie trapi, rzecz to bowiem przejściowa, która minie wnet wraz z

chorobą. Dostojny lord Hertford wspomniał o bankiecie wydawanym przez miasto Londyn, na którym Wasza Królewska Wysokość ma być obecny, wedle obietnicy miłościwego pana udzielonej już dwa miesiące temu. Czy Wasza Królewska Wysokość przypomina sobie teraz?

– Z przykrością wyznaję, iż sprawa ta w istocie uszła mej pamięci – powiedział Tom niepewnym głosem i znowu oblał się szkarłatem.

W tej chwili oznajmiono lady Elżbietę i lady Jane Grey. Dwaj lordowie wymienili znaczące spojrzenia i Hertford szybkim krokiem zbliżył się do drzwi, kiedy zaś mijały go młode damy, rzucił stłumionym głosem:

– Niechaj szlachetne panie zechcą udawać, iż nie dostrzegają jego szczególnych humorów, i nie zdradzać zdziwienia, gdy zawiedzie go pamięć. Zasmucicie się, panie, gdy spostrzeżecie, jak załamuje się przy lada drobnostce.

– Błagam, o panie mój – szeptał tymczasem lord St. John do ucha Toma – pilnie baczenie na wolę miłościwego pana. Przypomnijcie sobie wszystko, co możecie, udawajcie, że pamiętacie wszystko inne. Nie dajcie im spostrzec, iż zmieniliście się bardzo, wiecie bowiem, jak czułym sercem kochają was dawne towarzyszkę dziecięcych swawoli i jak wielki byłby ich smutek. Czy chcecie, panie, abyśmy tu pozostali – ja i wasz wuj?

Tom wyraził zgodę gestem i cichym słowem, gdyż korzystał już z nauk, a w prostocie serca postanowił słuchać rozkazów króla i zachowywać się najlepiej, jak potrafi.

Pomimo wszelkich środków ostrożności rozmowa młodocianej trójki stawała się chwilami nieco kłopotliwa. Prawdę rzekłszy, wiele razy Tom bliski był załamania i chciał wyznać, iż nie zdoła sprostać niepomiernym obowiązkom. Ratował go jednak takt księżniczki Elżbiety albo w porę i niby mimochodem rzucone słówko jednego czy drugiego z czuwających nad nim lordów. Raz mała lady Jane zwróciła się do Toma i w nie lada kłopot wprawiała go pytaniem:

– O panie mój, czy złożyliście dzisiaj pokłon należny miłościwej pani?

Tom zawahał się i miał już wyjąkać coś na chybił trafił, gdy lord St. John wyręczył go i odpowiedział ze swobodą dworaka przygotowanego zawsze na kłopotliwe pytania:

– Tak, o pani, i wrócił wielce pocieszony rozmową o stanie zdrowia miłościwego pana. Nieprawdaż, Wasza Królewska Wysokość?

Tom wymamrotał coś, co ująć mogło za odpowiedź twierdzącą, poczuł jednak, iż wkracza na niebezpieczne drogi. Nieco później ktoś wspomniał, że Tom ma przerwać na razie nauki, na co lady Jane zawołała:

– Ach, szkoda! Jaka szkoda! Takie świetne czyniłeś postępy. Bądź wszakże cierpliwy, bo nie potrwa to długo. Udziałem twoim będzie wiedza nie mniejsza niż twojego ojca i opanować musisz, królewiczu, wszystkie te języki, którymi ojciec twój włada.

– Mój ojciec! – zawołał Tom, który na chwilę przestał czuwać nad sobą. – Mój ojciec mówi własnym językiem, tak że zrozumieć go może tylko świnia wylegająca się w chlewie. No, a jakaś tam wiedza...

Podniósł wzrok i wyczytał poważną przestrożę w smutnym wejrzeniu lorda St. Johna. Urwał, zarumienił się i podjął cicho a żałośnie:

– Ach, znowu dręczy mnie ta niemoc i myśli schodzą na manowce. Nie chciałem wszak uchybić miłościwemu panu.

– Wiemy o tym, panie mój – rzekła królowna Elżbieta i z respektem, lecz czule ujęła w rękę dłoń „brata”. – Nie frasuj się, nie ty bowiem zawiniłeś, lecz słabość twoja.

– Dobrą jesteś pocieszycielką, o miła pani – odparł Tom z wdzięcznością. – Serce nakazuje mi złożyć ci podziękę, jeżeli wolno mi pozwolić sobie na tę śmiałość.

Raz swawolna mała lady Jane wystrzeliła do „kuzyna” prostym zdaniem po grecku. Wnet jednak królowna Elżbieta spostrzegła bystrym okiem, że twarz Toma wygląda niby czysta, nie tknięta tarczą, pocisk zatem musiał chybić celu. Sama więc odpowiedziała salwą dźwięcznej greki i wnet zmieniła temat rozmowy.

Czas upłynął miło i na ogół dość gładko. Zdradliwe rafy i mielizny trafiały się coraz rzadziej. Tom zaś był coraz swobodniejszy widząc, że wszyscy tak serdecznie pragną spieszyć mu z pomocą i nie dostrzegają jego błędów. Kiedy wyszło na jaw, że małe damy będą z nim wieczorem na bankiecie Lorda Majora, serce Toma wezbrało uczuciem ulgi i radości. Chłopiec poczuł teraz, że wśród tłumu obcych nie będzie samotny, choć przed godziną myślał, że mają mu towarzyszyć księżniczki, wzbudziłyby tylko nieopisany przestach.

Dla aniołów stróżów Toma, dwu lordów, rozmowa była oczywiście mniej przyjemna niż dla innych jej uczestników. Czuli się tak, jak gdyby pilotowali potężny okręt poprzez wielce niebezpieczny kanał – ustawicznie musieli się mieć na baczności i zrozumieli, że ich urząd to nie frazka. Kiedy wizyta księżniczek zbliżyła się wreszcie ku końcowi, oznajmiono lorda Guilforda Dudley. Dwaj opiekunowie osądzili jednak, iż nie tylko ich pupil jest na razie wystarczająco strudzony, lecz również sami nie czują się na siłach, aby zawrócić swój okręt i raz jeszcze ruszyć w niebezpieczną podróż. Z całym respektem poradzili więc Tomowi, aby się wymówił, co zresztą uczynił skwapliwie, chociaż na twarzy lady Jane odmalował się wyraz rozczarowania na wieść, iż pięknemu młodziankowi odmówiono przyjęcia.

Potem nastąpiła cisza – cisza oczekiwania, którego Tom nie potrafił sobie wytłumaczyć. Zerknął na lorda Hertforda, ten zaś dał mu znak, lecz Tom nadal nie mógł pojąć. Dopiero sprytna Elżbieta pospieszyła na ratunek z właściwym sobie naturalnym wdziękiem. Skłoniła się dwornie i zapytała:

– Czy Jego Królewska Wysokość, brat mój, zechce dać przyzwolenie, abyśmy odeszły?

Tom odpowiedział:

– Wasze Królewskie Wysokości mogą na zawołanie uzyskać ode mnie, czego tylko zechcą, wolałbym wszakże dać im raczej wszystko, co w mej mizernej mocy, niżeli przyzwolenie, które pozbawia mnie światła i radości, jaką jest wasze towarzystwo, szlachetne damy. Wszelako odejdźcie w zacisze swych komnat, a łaska boska niechaj ostaje z wami.

Potem uśmiechnął się w duchu na myśl:

„Nie darmo przebywałem tylko wśród królewiczów, gdy zajmowałem się czytaniem ksiąg. Nauczyłem się trochę kwiecistej, pełnej wdzięku mowy”.

Kiedy odeszły dostojne dziewice, strudzony Tom zwrócił się do swych opiekunów i powiedział:

– Za pozwoleniem czcigodnych lordów, chciałbym teraz ukryć się w jakimś kątku i odpocząć.

– Udziałem Waszej Królewskiej Wysokości jest rozkazywać, naszym słuchać – odparł lord Hertford. – Wasz odpoczynek jest istotnie wskazany, wkrótce bowiem czeka was, panie, droga do miasta.

Lord Hertford zadzwonił i zjawił się paź, któremu rozkazano, aby rycerz William Herbert stawił się przed królewiczem. Pan ów przybył niezwłocznie i zaprowadził Toma do jakiejś dalszej komnaty. Znalazszy się tam, chłopiec sięgnął przede wszystkim po czarnekę wody, porwał ją jednak odziany w jedwab i aksamit sługa, przyklęknął na jedno kolano i podał na złotej tacy.

Następnie strudzony jeniec usiadł i chciał zabrać się do zdejmowania butów z bawolej skóry, nieśmiałym spojrzeniem prosząc o pozwolenie, lecz drugi odziany w jedwab i aksamit natręt padł na obydwa kolana i sam wykonał tę czynność. Jeszcze dwa lub trzy razy Tom próbował zrobić coś samodzielnie, ponieważ jednak wyręczano go za każdym razem, uległ wreszcie z rezygnacją i mruknął:

– Bodaj to! Dziwna rzecz, że nie chcą za mnie dychać!

Obuty w miękkie pantofle, spowity wspaniałą szatą, legł wreszcie na spoczynek, lecz nie usypiał, gdyż głowę zbyt pełną miał myśli, komnata zaś pełna była ludzi. Nie mógł przepędzić myśli – pozostały. Nie nauczył się jeszcze tak wiele, aby przepędzić ludzi, więc pozostali również, ku wielkiemu utrapieniu Toma, jak i własnemu.

Po odejściu „królewicza” dwaj jego dostojni opiekunowie zostali sami. Przez czas pewien dumali kiwając głowami i przechadzali się tam i z powrotem po komnacie. Następnie lord St. John przemówił:

– Mówmy otwarcie: co o tym wszystkim myślicie?

– Mówię zatem otwarcie: król bliski jest zgonu, a siostrzan mój oszalał. Szaleniec wstąpi na tron i szaleniec na nim pozostanie. Oby Bóg miał w swej pieczy Anglię, bo pieczy tej bardzo będzie nam potrzeba!

– Zaprawdę, nie inaczej się zapowiada. Ale... czy nie macie, szlachetny panie, podejrzeń... co do... co do...

Lord St. John zająknął się i umilkł. Rozumiał bez wątpienia, iż wstępuje na niebezpieczny teren. Lord Hertford przystanął przed nim, spojrzął mu w twarz jasnym, szczerym wzrokiem i rzekł:

– Mówcie, szlachetny panie, tylko ja was słucham. Jakież macie na myśli podejrzenia?

– Wobec osoby tak bliskiej mu krwią jak wy, szlachetny panie, trudno mi oblec w słowa to, co dręczy myśli. Zechciejcie mi wybaczyć, jeśli to obraza, lecz czy nie zdaje się wam dziwne, iż obłęd odmienił tak bardzo jego maniery i mowę? Nie twierdzą, iż mowa i zachowanie waszego siostrzana przestały być dworne, lecz różnią się w takich lub innych drobiazgach od tego, do czego jego królewska wysokość przywykł był od dawna. Czy nie dziwne to, iż szaleństwo zatarło mu w pamięci nawet obraz rysów własnego rodzica albo też cześć i hołdy, które mu dwór winien? Czemu została mu znajomość łaciny, gdy greka i francuski poszły w zapomnienie? Nie gniewajcie się, szlachetny panie, lecz uspokójcie raczej moje troski, za co wdzięcznym będę niewypowiedzianie. Wciąż dręczą mnie jego słowa, iż nie jest królewiczem, mniemam tedy...

– Milczcie, szlachetny panie, bo to przecież zdrada! Uszły wam już z pamięci królewskie rozkazy? Pomnijcie, że słuchając takiej mowy, sam biorę udział w zbrodni.

St. John pobałdł i powiedział spieszenie:

– Przyznaję, iż zbłądziłem. Nie wydajcie mnie wszakże, szlachetny panie, uczyńcie mi tę łaskę, a nie pomyślę już o tym ani nie rzeknę nigdy. Miejcie nade mną litość, gdyż grozi mi zguba.

– To mi wystarczy, szlachetny panie. Jeżeli zatem nie popełnicie tego przestępstwa tutaj ani też w przytomności innych, będzie tak, jak gdybyście nie rzekli nic zgoła. Niepotrzebnie jednak żywicie podejrzenia. To jest syn mojej siostry. Znam wszak od kolebki ten głos, tę twarz, tę postawę. Obłęd może sprawić wszystkie dziwaczne zmiany, które w nim widzicie. Ba! dokona i więcej! Czy nie pomnicie, panie, iż stary baron Marley zapomniał w szaleństwie rysów własnej twarzy, znajomej mu wszak od sześciu lat dziesiątków, i mniemał, że to cudze oblicze. Ach, uważał się nawet za syna Marii Magdaleny i prawił, że ma głowę ze szkła hiszpańskiego. Nikomu, wstyd powiedzieć, tknąć jej nie pozwalał, bo myślał, że niebezpieczna ręka może ją stłuc snadnie. Odsuńcie więc swe podejrzenia. To prawdziwy królewicz; znam go przecie dobrze i on właśnie zostanie rychło waszym królem. Winniście skrzętnie chować to w pamięci, bo wy, szlachetny panie, większą stąd niżli inni możecie odnieść korzyść.

Po niedługiej gawędzie, w czasie której lord St. John naprawiał swój błąd tak dobrze, jak tylko umiał, dowodząc ustawicznie, że wiara jego została już ugruntowana i nie grożą mu dalsze wątpliwości, lord Hertford zwolnił współopiekuna i usiadł samotnie, aby trwać w gotowości na swym posterunku. Niebawem popadł w głęboką zadumę, lecz widać było, że im dłużej myśli, tym srożej dręczą go troski. Wreszcie wstał i zaczął przechadzać się po komnacie.

– Ha, to musi być królewicz – pomrukiwał do siebie. – Czy w całej Anglii ośmieli się ktoś twierdzić, że może się znaleźć dwu ludzi nie tej samej krwi i różnego urodzenia tak bliźniaczo do się podobnych? A gdyby nawet! Jeszcze większym cudem byłoby wówczas przedziwne